

W kraju palm i słońca – 8

27 października 2022

Reportaż Artura Gruszeckiego z roku 1890 z emigracji Polaków do Brazylii. Pisownia oryginalna z tamtej epoki.

W dziewiczym lesie

Na pierwsze wejście przedstawia las dziewiczy bezładny, szalony swym bogactwem i różnaitością chaos krzewów, roślin, zieloności, barwnych liści i jaskrawych kwiatów. Robi on wrażenie olbrzymiej fali wybujałej roślinności, zwartej, skłębionej, splątanej, dążącej z niesłychaną siłą do światła, do słońca.

A ponad tą masą zieleni, purpurowych, złotych, pomarańczowych, fioletowych, błyszczących, jakby lakierowanych i matowych liści przeróżnych kształtów, wśród strzelających kwiatów białych, różowych, amarantowych, błękitnych, złotych wznoszą się w górę, jak maszty zatopionego okrętu, rozpaczliwie ku niebu wyciągnięte, trupie, obdarte, białawe konary olbrzymia-drzewa. Zginął w śmiertelnych uściskach lian, pyszniących się w jaskrawobiałym słońcu barwnymi kwiatami, a z każdego górnego załomu pnia krwawią się koronami kwiatów, najczęściej purpurowych, pasożyty.

Miejscami, gdzie padł niedawno zmurszały olbrzym leśny, ciągnąc za sobą ku ziemi wrogów, którzy go zgładzili, tworzy się szczelina, rodzaj okienka, pozwalającego spojrzeć w tę puszcę leśną. Zrazu jaśniejszy, głębiej ciemny mrok panuje, chociaż wierzchołki iskrzą się w słońcu. Tam widzi oko jakieś wiotkie pnie, ciemnozielone krzewy, girlandy zielone, poprzierzucane z drzewa na drzewo, i jak węże zwieszające się gałęzie, czy olbrzymie ssawki lian.

W taki to las wybrałem się wczesnym rankiem z młodym kolonistą Grzelą, śmigłym, silnym, zwinnym góralem spod Nowego Sącza,

który od dziecka, bo od dziesiątego roku życia zżył się już z tym lasem i jest namiętym myśliwym.

Wąską ścieżyną weszliśmy w las, który w niczym nie przypomina naszych borów; ani szumu, orzeźwienia, zapachu; wilgoć tylko i woń rozkładających się trupów roślinnych; światło zielonkawe, nieprzyjemne, i wokoło niedające się przejrzeć ściany roślin i krzewów.

O trzy, cztery kroki kończy się siła oka i tak jest przed nami, za nami i z boków. Cicho, słychać szelest rozsuwanych gałęzi, trzask suchego drzewa pod nogą i tylko czasem gdzieś niewidzialny, bo siedzący nad zielonym sklepieniem, zaświergoce ptak, i znów cisza.

Nagle gdzieś w oddali rozległ się krzyk, gardłowy wrzask: „mhii... huuu”, z wciąganiem w siebie drugiej części, a powtórzyły go liczne głosy.

Grzela stanął.

– To małpy wrzeszczą... może się uda... Pan pójdą tą pikadą (portug. picado, ścieżka), a ja bokiem, ino ostrożnie, bo psie pary okrutnie stróżliwe.

– Iść prosto czy skręcić?

– Jedna pikada, i tej pan pilnuj. A bacz pan, aby gada nie nadepnąć, bo schwyci szelma; puść go pan spokojnie w las.

– A jak małpy podchodzić?

– Mądre są bestie, stawiają straż, a i na zwiady wysyłają, ale póki wrzeszczą, można iść śmiało.

– Gdzie się spotkamy?

– Już ja pana znajdę... a pikadą zawsze można wrócić.

Z pewnym wahaniem poszedłem ścieżką, po chwili dopadł mnie Grzela:

– A pilnuj pan dobrze: bywa, że i kocisko podchodzi małpy... Hej, gdyby go ustrzelić! – zaśmiały mu się oczy.

Zostałem sam na wąskiej, krętej ścieżynce, ledwie znacznej po krótszej, pomiętej roślinności. Posłuszny wskazówce, gdy małpy przestały wrzeszczeć, stanąłem. Spojrzałem wokoło: co za przepych, bogactwo, rozrzutność form i barw i jaka szalona, przerażająca swą bezwzględnością walka o byt, o każdą piędź ziemi, o każdy promyczek światła, jak wyzyskana każda podpora! Tuż przy mnie zdobi swój wierzchołek, na wzór palm, drzewiasta paproć, obok osypana kwiatami barwnymi wysoka fuksja, głębiej w drzewo urosłe rozłożyste mirty, bogate rycynusy, wspaniałe oleandry i tysiące roślin, kwiatów, prawie wszystkie bez zapachu, bo tu, w tym słońcu, zaledwie cień zapachu posiadają róże i magnolie, reszta oddała swą duszę gorącym promieniom słońca.

Pod nogą mam drzewo do dwunastu cali obwodu, z korą spękaną, szarą; śledzę je i o kilka kroków ujrzałem je owinięte o wspaniałą pień cedru: to liana, przez kolonistów powrozem zwana, już dosięgła połowy pnia żywego i spuszcza na dół mocne, chociaż wiotkie ramiona, czyhające, by oplątać nową ofiarę.

Czasami wiatr, krzew pomoże do schwycenia innego drzewa albo też, dosięgnąwszy ziemi, pełza, posuwając się cieniutkimi korzonkami.

Wobec tej rozhukanej roślinności i walki na śmierć i życie czuje się człowiek mały i prawie bezsilny, a jednak polski chłop nie uląkł się ani dziewiczego lasu, ani tego wiecznie odnawiającego się wroga, zagłuszającego jego posiewy. Wściekłą pracą zdobywa kawałek lasu, broni go przeciw Indianom, robactwu, małpom, ptakom, i nieustannemu naporowi dawnych panów tej ziemi, leśnym bracatingom, tacuarom, putingom i jak się tam nazywa ten plebs poprzedzający wspaniałe drzewa lasu dziewiczego. Zdobył tę ziemię i trzyma całą siłą mięśni i mózgu.

Znów małpy wrzasnęły, idę dalej i coraz bardziej jest mi obco, przykro, niemiło; wokoło siebie czuję zdradliwe, wrogie siły, które mnie zdepcą, zduszą, zmiażdżą. Nasłuchuję rozpaczliwego wrzasku małp, z przygłuchym, wciągany wyciem: „huuu!...” i ogarnia mnie jakiś lęk, że do tej natury, do tego lasu, do tych małp wkradam się bezprawnie, że te wszystkie drzewa, liście, kwiaty patrzą na mnie i szeptem pytają: skąd, po co, dlaczego tu przyszedłem?

Stanąłem... Gdzieś w górze skrzek, potem jednostajny świegot ptaka, żadnego śpiewu, żadnej melodii, gdyż z wyjątkiem gatunku drozda i kosa wszystkie inne ptaki świegocą w rodzaju naszego trznadla. Było to trochę widniejsze miejsce i co za wściekła walka roślin: trzciny, bambusy, palmy, fuksje, embuje, fikusy, paprocie splątane, wyrywają sobie już nie ziemię, lecz powietrze.

Patrzałem z przykrością na tę niemą walkę na śmierć i życie, w której słaby pada, a mocny ginie zdradziecko w uściskach pijawek lian, pięknych orchidei, błyszczących, ananasowatych pasożytów. I porwała mnie niewysłowiona tęsknota do pól, do zagonów, do „srebrnego żyta, złotej pszenicy”, do słońca, do swoich. Dokuczały mi kształty, drażniły kwiaty, bolał przepych... zapragnąłem słońca i ziemi, naszej ziemi!

Padł strzał Grzeli... małpy wrzasnęły i umilkły.

– Był kot – mówił zdyszany – ale nie dostał w komorę i śmignął w bór... nikiej cielak dobry... szkoda, okruteczna szkoda...

– Wracajmy.

– Już?... Pójdźmy nad wodę, może co ustrzelimy... wstyd z pustką wracać. Rozpowie pan tam, u nas, i śmiać się będą.

Dziwnie smutna, przykra woda, podobna do oka pokrytego czarną kataraktą, posępna, czarnawa, odbija ciche drzewa nadbrzeżne, wybujałą roślinność i ciemne sklepienie z lian niedopuszczających tu słońca.

Gdzieś na skraju wrzask dziecka małego, męczonego przez oprawców: to głos żaby, a tuż odezwały się młoty w kuźni, huczące, z przytłumionym dźwiękiem: to bracia i siostry dziecka rzewnie płaczącego.

Stało się zadość ambicji Grzeli: zabił szarą czaplę i wielkiego nura.

Wyszliśmy z lasu dziewiczego... Oddycham w słońcu!

Ciąg dalszy nastąpi

Autorstwo: Artur Gruszecki

Źródło drukowane: „W kraju palm i słońca. Wrażenia z podróży”,
Księgarnia Wydawnicza J. Czerneckiego w Wieliczce, Kraków

Źródło internetowe: WolneLektury.pl

Licencja: [CC BY-SA 4.0](https://creativecommons.org/licenses/by-sa/4.0/)